

Laudacja Przewodniczącego Jury

Szanowni Państwo, Drodzy Przyjaciele,

jak dobrze gościć Was w redakcyjnych progach! Razem wejść od niechcenia w szybkie bachanalia i zadrwić z ołowianej aury grudnia!

Szczególnie gorąco witam Państwa Laureatów – gdyby nie Wy, nie mielibyśmy okazji, żeby się spotkać. W tym roku nasz jurorski kolektyw wyluskał ze stosu propozycji książki bardzo odmienne, co stanowi pewne wyzwanie, jeśli chce się opowiedzieć o nich wszystkich adekwatnym tonem. Nie mam tu na myśli ogólnych wyobrażeń o właściwym przebiegu mowy pochwalnej. Chodzi mi o ton adekwatny do charakteru poszczególnych książek, nagrodzonych osób i miejsca, w którym się znajdujemy. Ciężka sprawa, ale nie poddamy się bez walki. Będzie trochę o ludziach i trochę o książkach. Głównie o książkach.

W pięknie wydany *Ilustrowniku*, który jest czymś w rodzaju leksykonu, Grażyna Bastek skupia się na technicznych i warsztatowych zagadnieniach dawnego malarstwa. Tak zakrojona perspektywa wydawała nam się bardzo bliska. Jesteśmy zdania, że w rozmowach o sztuce, każdej sztuce, dobrze trzymać się konkretnego – nie tak nie chroni przed egzaltacją i rezonerstwem, które plenią się na tym polu jak lebioda. Hasła zamieszczone w *Ilustrowniku* podzielono na kilka grup, takich jak „Pigmenty i barwniki”, „Iluzje i triki optyczne”, „Wyposażenie pracowni malarskiej i praktyki warsztatowe”. Poszczególne hasła odsyłają do siebie nawzajem, tworząc rozległą semantyczną mapę.

Ilustrownik to książkaularyzatorska w najlepszym znaczeniu tego słowa. Pasjonująca i pouczająca. Bo czy na pewno zawsze wiemy, o czym mowa, kiedy mowa o światłocieniu, retuszu, kontraście albo nawet majstersztyku? Używamy tych słów odruchowo, nie do końca świadomi ich znaczeń. Leksykon malarstwa, podobnie jak słownik muzyki czy teatru, to część uniwersalnego języka sztuki: przydaje się nie tylko malarzom, kuratorom czy konserwatorom. Jasne: ktoś może powiedzieć, że warsztatowa terminologia jest w gruncie rzeczy mało inte-

resująca i nijak się ma do wzruszeń, jakie przynosi obcowanie z dziełem malarskiego geniuszu. Tylko czy taki podział na dziedzinę wzniosłych doznań estetycznych i jakoby zewnętrzne wobec niej technikalnia ma jakikolwiek sens?

Ilustrownik to słownik z obrazkami. „Każde hasło – pisze autorka – jest bogato ilustrowane, dzięki czemu można zobaczyć to, czego nie można wystarczająco dobrze opisać”. Część ilustracji wybranych przez Grażynę Bastek ma charakter konwencjonalny. Na przykład technikę *pastoso* obrazuje powiększony detale *Portretu mężczyzny w czerwonym turbanie* Jana van Eycka. Widać na nim impasty nałożone po to, by zaznaczyć bliki światła w oku modela. Ale są też ilustracje innego typu. Na przykład czytając o odwrociu obrazu, widzimy obok reprodukcję martwej natury pod tytułem *Odwrocie obrazu*. Hasłu „Rama” towarzyszy wizerunek *Dziewczyny w ramie obrazu* Rembrandta, wizerunek znamieny, bo malarz zajmuje się tu nie tylko portretowaną, ale też samym problematem ramy, fizycznej granicy malarskiego przedstawienia. Hasło „Warsztat” obejmuje piękną rycinę z szesnastego wieku, na której widać strukturę i organizację malarskiego warsztatu, panującą w nim hierarchię i podział zadań.

Kwestie, o których tak zajmująco pisze Grażyna Bastek, nie są więc zewnętrzne wobec sztuki; bywają jej sednem. Malarstwo dawne, szczególnie z epoki holenderskiego Złotego Wieku, okazuje się praktyką na wskroś refleksyjną. Autorka świetnie zdaje z tego sprawę. Poprzez kompozycję książki – dobór ilustracji i konstrukcję haseł – przybliża motywy warsztatowe słowem, a zarazem przywraca je żywiołowi malarstwa. *Ilustrownik* ogląda się i czyta z wypiekami na twarzy. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wręczyć pani Grażynie Bastek pąsową różę.

Przed rokiem bawiliśmy się myślą, żeby nagrodzić Krzysztofa Bartnickiego za krótką antologię pod tytułem *Sad zapięty*. Osobliwa to książka: najstarszy z pomieszczonych w niej tekstów pochodzi z trzynastego wieku, najnowszy – z połowy dwudziestego. Czego tu nie ma! Urywek sonetu, reportaż sądowy, postylla, fragment dykcjonarza... Autorów dwudziestu, podobno wszyscy związani ze Śląskiem. Dwa, może trzy nazwiska brzmiały znajomo, o pozostałych nikt w redakcji nie słyszał.

Sad zapięty to antologia przekładu, aczkolwiek – mówię to po dwukrotnej lekturze – nie zawsze wiadomo, z jakiego języka na jaki. Nic to, pocieszaliśmy się. Koncept wydawał się intrygujący i świeży. A Bartnicki? No cóż, wiadomo, Bartnicki to człowiek pozytywnie zakręcony.

Kilka drobiazgów nie dawało nam jednak spokoju. Czemu opatrzył książkę przypisami, w których docieka intencji tłumacza, skoro przetłumaczył to wszystko sam? Naprawdę mamy uwierzyć, że Konrad Nieszewski, dziewiętnastowieczny „piewca górniczego losu”, poprzedził swój wiersz mottem z Agnieszki Wolny-Hamkało? No i te blurby: przekręcony incipit z Baudelaire’a, a obok myśl Mariana Piotra Rawinisa „Zażywieniem Bartnickiego kryje się jakiś problem”. Zaczęły nas dręczyć koszmary: impreza na Koziej, laudacja, kwiatek, Bartnicki wychodzi na środek pokoju i ogłasza, że zrobił nas w bambuko, *Sad zapięty* to fałszywka. Jak byśmy wtedy wyglądali? Strach przed blamażem zwyciężył. Nagrody w kategorii Poezja za rok 2023 nie przyznano.

Na szczęście fascynująca biblioteka kuriozów, jaką jest twórczość pisarsko-przekładowa Krzysztofa Bartnickiego, szybko powiększyła się o kolejny tom, poemat fantastycznonaukowy *Port gwiazdny Topjo* autorstwa Harry Josephine Giles, mieszkanki Orkadów, archipelagu u północnych wybrzeży Szkocji. Bohaterami książki nie są ludzie, ale języki: angielski, szkocki, orkadzki. Tyle że, jak czytamy w przedmowie, „orkadzki to właściwie nie język, ale zbiór mów, bez zasad pisowni i gramatyki, przy tym tracących wiele po przenosinach w druk”. Jak oddać taki „zbiór mów” w przekładzie, i to drukowanym? Jak zorkiestrować jego relacje z innymi językami? Bartnicki, koneser obcości, badacz językowej entropii i dyfuzji, udowadnia, że można na niego liczyć.

W roli hegemonu, czyli angielszczyzny, obsadza polszczyznę. Odpowiednikiem szkockiego czyni kaszubski. „Prace nad odpowiednikiem orkadzkiego – pisze – zaczęto od sporządzenia listy lektów Pomorza [...]. Lista objęła ostatecznie 10–20 języków (liczba zależy od definicji języka), w tym połabski, rugijski, słowiński, języki Łużyc; ale także pruski, gocki i inne”. Niektórzy z nas, wiedzeni troską o inkluzywność, dopytywali z niepokojem, czy tłumacz na pewno nie pominął żadnego języka. Zajrzeliśmy do książki. „Zgodnie z założeniem – uspokaja w przedmowie Bartnicki – wykorzystano w s z y s t k i e dostępne języki z listy”. W tym roku postanowiliśmy uwierzyć mu na słowo.

Książka Weroniki Szwebs pod tytułem *Translacje teorii. Derrida, Barthes, Said i Butler po polsku* ukazała się w serii monografii poświęconych współczesnej myśli przekładoznawczej. Warto na nią spojrzeć jak na zbiór szkiców z krytyki przekładu – polot, niepodległość i klasa tych dociekań uwidocznią się wtedy najpełniej.

Weronika Szwebs przygląda się przekładom pism teoretycznych, które w okresie przełomu ustrojowego, i trochę później, wywierały istotny wpływ na polską akademię. Jakże są te pionierskie tłumaczenia? Czasem pomysłowe, czasem trochę nieporadne, ale zawsze interesujące. Przy czym to, co najciekawsze, wymyka się ahistorycznej lekturze pod kątem zgodności przekładu z oryginałem. Na przekór doktrynie śmierci człowieka okazuje się, że tłumacze to jednak ludzie. Żyją w określonym miejscu i czasie, mają swoje predylekcje i uprzedzenia, nasycają tekst własnym stosunkiem do tłumaczonego autora. Taka saturacja potrafi zaskakująco wpłynąć na kształt teorii w przekładzie. Prócz różnic między językami naturalnymi, różnic bezdyskusyjnych, w grę wchodzi uprzykrzona niewspółmierność tradycji filozoficznych, która po prostu domaga się od tłumacza interpretacji. I tu utykamy w martwym punkcie. Przekład dyskursu wciąż jeszcze humanistycznego okazuje się zadaniem ponad ludzkie siły.

Omawiane w książce tłumaczenia Derridy, Barthes'a, Saida i Butler inicjowały proces przyswajania ich myśli na polskim gruncie. Trzeba to mieć na uwadze, kiedy mówi się o mankamentach. Zjawisko, które Weronika Szwebs poddaje krytycznej wiwisekcji, można by zresztą ująć bardziej afirmatywnie, w duchu maksymy Fryderyka Nietzschego: „To, na co znajdujemy słowa, przestało już nas obchodzić”. Kiedy impuls translatorski wynika z zauroczenia nie tyle teorią samą, ile wyobrażeniem o teorii, jakie żywi tłumacz, potęgą żywiołu subiektywnego upodabnia przekład do twórczości oryginalnej. Tylko co to oznacza? Czyżby przekład *sensu stricto* wymagał od nas utraty zainteresowania tym, co tłumaczymy? Zostawiam Państwu z tym nieludzkim pytaniem.

Spróbuję za to odpowiedzieć na dwa inne. Czy dzisiejsza Weronika Szwebs rozumie Derridę lepiej niż jego pierwsi polscy tłumacze? Chyba tak. Czy korzysta z tego, by chęć się poczuciem wyższości? Bynajmniej. Trafna problematyzacja obchodzi ją bardziej niż wymierzanie kuksańców. Nie jesteśmy jedynymi, którzy to dostrzegli. *Translacje teorii*

doczekały się życzliwej recenzji naukowej od profesora Adama Dziadka, autora kilku zdekonstruowanych w książce tłumaczeń. Świadczy to jak najlepiej o wszystkich zainteresowanych.

Nagrodzona rozprawa jest przykładem cnót, które ze zmiennym szczęściem kultywujemy w naszym periodyku. Refleksja o przekładzie staje się tu wymagającym gatunkiem literackim. Weronika Szwebs mimochodem przypomina, że mały krytyk siedzi, powinien siedzieć, w głowie każdego tłumacza, który co rusz ogląda swój przedmiot z zewnątrz, by za chwilę do niego powrócić. No właśnie, moment krytyki, analizy czy dekonstrukcji w ramach nieprzerwanego procesu gromadzenia słów, jakim jest literatura. Czy słyszeli Państwo o sekrecie Penelopy? Że trzeba tkąć i pruć, i znowu tkąć i pruć? Wiersz Aleksandra Wata, z którego pochodzą te słowa, od zawsze służył w naszej redakcji za motto i prawdę mówiąc powinien wisieć na ścianie obok kaszalota.

Translacje teorii uprzytamniają symbiozę, a może dialektyczną jedność, trzech z pozoru odrębnych dyscyplin: literatury, krytyki, przekładu. Uosobieniem tej jedności był wybitny romanista, krytyk i tłumacz Andrzej Siemek. Przyznając Weronice Szwebs nagrodę jego imienia, mieliśmy czyste sumienie.

Postać Penelopy pozwala mi gładko przejść do nagrody w kategorii Inicjatywa Wydawnicza. Uhonorowaliśmy nią zespół filologów klasycznych z Uniwersytetu Adama Mickiewicza za obliczoną na dziewięć tomów edycję *Dzieł wszystkich* Owidiusza, ukazującą się nakładem krakowskiego Universitasu. Co Penelopa ma wspólnego z Owidiuszem? Otóż zalicza się do grona kilkunastu mitycznych kobiet, którym Nazon użył głosu, tworząc zbiór fikcyjnych listów miłosnych, czyli słynne *Heroidy*. Listy te – w przekładzie i opracowaniu Elżbiety Wesołowskiej i Moniki Miazek-Męczyńskiej – składają się na trzeci tom *Dzieł wszystkich*.

Jeśli mamy mówić jak na spowiedzi, to *Heroidy* ukazały się poza serią, na rok przed jej pierwszym tomem – u tego samego wydawcy, w identycznym formacie i bliźniaczej szacie graficznej. Lada chwila ukażą się zapewne raz jeszcze, tym razem „oficjalnie” jako tom trzeci *Dzieł wszystkich*. Nagrodzona edycja to zatem *work in progress*. Na razie mamy w rękę dwa tomy. Może trzy – zależy jak liczyć.

Tom pierwszy to *Amory*, „bestselerowy debiut”, dzięki któremu Owidiusz zaistniał jako piewca wolnej miłości i przygodnych związków erotycznych. Każdą z pięćdziesięciu elegii opatrzone przystępnym komentarzem. Tłumaczy jest pięcioro: Aleksandra Arndt, Łukasz Berger, Monika Miazek-Męczyńska, Ewa Skwara i Elżbieta Wesołowska. Drugi tom *Dzieł wszystkich*, czyli *Sztuka kochania*, to samodzielne dokonanie Ewy Skwary. Poemat w trzech księgach, swego czasu okrzyknięty „vademecum sprośności”, zawiera mnóstwo celnych, zawsze aktualnych porad. Oto kilka poruszonych w nim kwestii: „Tuszowanie niedoskonałości ciała”, „Zazdrość – przyprawa miłości”, „Mężczyźni, których należy unikać”, wreszcie „Zalety pań dojrzałych”. Jak wiadomo, cesarz Oktawian August nie mógł słuchać tych świństw i wygnął Owidiusza z Rzymu.

Poezje zgnańcze zapowiadane są jako szósty tom *Dzieł wszystkich*, ale my już przed kilku laty drukowaliśmy garść elegii z tego okresu w przekładzie Elżbiety Wesołowskiej. A także „Amory” w tłumaczeniu Ewy Skwary. Powiem więcej. *Kalendarz poetycki. Fasti* ukaże się w serii *Dzieł wszystkich* dopiero za jakiś czas, jako tom piąty, tymczasem profesor Wesołowska już w roku 2009 odebrała za ten przekład nagrodę „Literatury na Świecie”.

Do czego zmierzam? Chyba do tego, że nasza współpraca z Instytutem Filologii Klasycznej Uniwersytetu Adama Mickiewicza układa się wzorowo. I że niektóre tomy *Dzieł wszystkich* Owidiusza to ponowienia, co w niczym nie umniejsza rangi całego przedsięwzięcia, którego pomysłodawcą jest profesor Aleksander Wojciech Mikołajczak. Nad redakcją naukową całości czuwa Elżbieta Wesołowska – i to na jej ręce składamy dziś powinszowania dla poznańskich filologów.

Filip Łobodziński, którego nagrodziliśmy za przekład prozy, od dziecka był nader elokwentny. Zachowane świadectwa są tu jednoznaczne. Jako pacholę wcielał się w role chłopców z dobrego domu i czynił to z naturalnością, której nie sposób zamarkować. Później bez wysiłku zerwał z wizerunkiem prymusa. Grał i śpiewał, tłumaczył i pisał, bywał reporterem i prezydentem. Znał go Państwo w różnych wcieleniach, bo Filip Łobodziński jest wszechstronnie uzdolniony i nie należy do życiowych kunktatorów.

Nowela historyczna pod tytułem *W cieniu orla* – jedenasty Pérez-Reverte w dorobku Laureata – to rzecz o kampanii rosyjskiej Napoleona widzianej oczyma Hiszpanów wcielonych do francuskiej armii. Mowa zatem o czasach, kiedy zwierzchnictwo Napoleona uznawane było przez pół Europy, nie tylko Madryt, ale i Warszawę. Żeby wprowadzić Państwa w klimat książki, powiem od razu, że w przekładzie Filipa Łobodzińskiego cesarz Francji nosi przydomek Le Petit Coutafon. Osią fabuły jest *qui pro quo*, które pozwoliło Francuzom odwrócić bieg bitwy pod Borodino. Widząc, że zanosi się na łomot, żołnierze z hiszpańskiego regimentu postanawiają przejść na stronę Rosjan. Ze wzgórza, na którym zebrał się francuski sztab, ta rozpaczliwa próba dezercji wygląda na brawurową szarżę. Marszałek Murat rusza z odsieczą, Rosjanie się wycofują. Napoleon może wkroczyć do Moskwy.

Później nie jest już tak wesoło, ale sednem noweli pozostaje komizm oparty na zderzeniu podniosłego bełkotu francuskiej generalicji, sportretowanej jako banda lizusów i pieczeniarczy, z językiem hiszpańskich wojaków. Ten drugi – pełen koszarowego humoru, żywotny, giętki i pomysłowy – opowiada o wojnie z perspektywy ludzi uwikłanych w nią mimo woli i traktowanych jak mięso armatnie. Jako taki budzi bezwarunkową sympatię; łamiąc rozmaite tabu naszej doby, działa oczyszczająco.

W cieniu orla to tekst wymagający ofensywnego, twórczego podejścia do przekładu. Autor wskazuje kierunek, ale nie prowadzi tłumacza za rękę. Filip Łobodziński sprostął zadaniu koncertowo, z finezją i lekkością. Można powiedzieć, że rozegrał ten przekładowy mecz na własnym boisku. Słysząc, że miał ubaw, wzbogacając humor książki o elementy zgodne z jej duchem, choć nieobecne w oryginale, jak choćby wulgarne polskie przydomki w „wytwornej” francuskiej transkrypcji. Dla kogoś, kto pamięta Brassensa w wykonaniu Zespołu Reprezentacyjnego, a w młodości czytywał muzyczne recenzje Laureata, nowela Péreza-Revertego, przy całej świeżości, brzmi dziwnie znajomo. Filip Łobodziński pokazuje, że tłumacząc, też można śpiewać swoją piosenkę. I za to wręczamy mu dzisiaj róży kwiat.

Filip Łobodziński nie jest jedynym artystą scenicznym w gronie naszych Laureatów. Uzgadniając termin tej uroczystości, musieliśmy

wziąć w rachubę kalendarz występów profesora Jacka Kowalskiego, który udziela się jako frontman w kapeli o nazwie Jacek Kowalski & Klub Świętego Ludwika. Do największych przebojów tej formacji należy *Pieśń o Rolandzie*. Wersji studyjnej można posłuchać z płyty dołączonej do nowego przekładu najśłynniejszej *chanson de geste*. Domyślają się Państwo, kto jest autorem tego znakomitego spolszczenia: nie kto inny jak właśnie Jacek Kowalski, wyróżniony przez nas nagrodą w kategorii Poezja.

Laureat ochrzcił swoje dzieło „przekładem śpiewanym”, nawiązując do tradycji żonglerów, czyli wędrownych minstrelów. Epos rycerski, tak jak pieśni trubadurów, istniał bowiem w żywym ustnym przekazie. Średniowieczna pieśń epicka była sztuką śpiewaną. Więcej informacji o żonglerach i całym katalogu problemów narosłych wokół *Pieśni o Rolandzie* przynosi obszerny wielowątkowy wstęp tłumacza.

Jaki obraz wyłania się z lektury tego imponującego eseju, który, prawdę mówiąc, mógłby się ukazać jako osobna książka? Otóż jedno tylko nie ulega wątpliwości: *Pieśń o Rolandzie* jest arcydziełem. Reszta to hipotezy i domniemania. Nie wiadomo, kto jest autorem eposu (i czy w ogóle miał on pojedynczego autora). Kim był Roland? Którą wersję tekstu uznać za ostateczną? Co oznacza trzyliterowy skrót umieszczony na końcu co którejś strofy? Jak sprawdzić, czy fabuła eposu odpowiada rzeczywistości, skoro *Pieśń* jest artystyczną parafrazą, ale i ważnym świadectwem epoki? Wszystkie te niejasności okazują się na dłuższą metę trudne do zniesienia. Badacze tworzą konkurencyjne szkoły i zajmują określone stanowiska. Sednem sporów i dyskusji pozostaje ulotny poetycki tekst emanujący zagadkową siłą. „Zgłębianie jego tajemnic – powiada Jacek Kowalski – rodzi wciąż nowe pytania; odpowiedzi na nie pobudzają do nowych zdziwień, podziwu i pytań kolejnych”.

Cytowany tu wstęp przybliży wysiłki dziewięciorga wcześniejszych tłumaczy *Pieśni o Rolandzie*, szkicuje kontekst i założenia stylistyczne ich przekładów. „Przekład śpiewany” Jacka Kowalskiego to pierwsze pełne tłumaczenie na podstawie wersji starofrancuskiej: jedenastozgłoskowiec z lessą zespoloną pojedynczym asonansem. Tłumacz zachował oryginalny podział na wersy i strofy. Powstał tekst melodyjny, rytmiczny i czytelny, okraszony archaizmami, niestroniący od dowcipnych anachronizmów.

„Średniówki po piątej sylabie – pisze Jacek Kowalski – przestrzegam z pewnymi wyjątkami. Tam, gdzie zwrot starofrancuski domagał się ładnego odpowiednika w polszczyźnie, a średniówka temu wadziła – rezygnowałem z niej bez żalu”. Erudycja, świadomość wagi podjętego zadania, rygor metryczny – te rzeczy mają znaczenie, kiedy przekłada się epos rycerski. Jednak ważniejsze jest to, że ostatecznym kryterium był dla tłumacza subiektywny gust. Nie będą Państwo zaskoczeni, jeśli powiem, że właśnie pochwała gustu – głoszona stosownie do okazji, a więc z otwartą przyłbicą – szczególnie przypadła nam do gustu.

Kiedy latem wracało się z wakacji nad Adriatykiem, najlepiej było wsiąść do samochodu przed północą. Dzieci zasypiały od razu, tłok na A1 był mniejszy niż za dnia. Rano przyjeżdżało się do Bratysławy, a tam czekał Jagoda. Któregoś roku Dalmatina świeciła pustkami, jechało się szybciej niż zwykle. Wytracaliśmy czas, zaliczając kolejne stacje benzynowe na obwodnicy Wiednia, a i tak dotarliśmy na Búdková o szóstej rano. Zażenowani, ale zbyt zmęczeni, by snuć się jeszcze bez celu po mieście, zapukaliśmy do drzwi. Andrzej, nawet obudzony z głębokiego snu, nie brał jeńców. Na stół wjechał lodowaty Kozel, do odtwarzacza – chorzowski koncert Martyny Jakubowicz. Zaczynał się popas.

Najstarsi członkowie obecnego zespołu pisma pamiętają wyjazdowe kolegium redakcyjne sprzed dekady. Odgrzebuję mejl, który parę dni wcześniej rozesłała do nas Ania Wasilewska: „Przed chwilą zadzwonił Andrzej Jagodziński, bardzo się sumitując za zwłokę, ale potwierdzając zaproszenie. Zmogła go choroba, łykał proszki. Dla dwóch lub trzech osób spanie komfortowe, reszta pokot”. Był koniec września 2014 roku. Bratysławskie kolegium „Literatury na Świecie” trwało kilka dni i nocy. Szkoda, że Państwo tego nie widzieli.

Pozwoliłem sobie na prywatę, bo mam nadzieję, że ktoś rozpozna w tych migawkach ślady własnych reminiscencji z udziałem tegorocznego Mamuta. Nie można jednak dopuścić, by prestiż nagrody ucierpiał z powodu oskarżeń o kumoterstwo, dlatego przechodzę do konkretów. Andrzej Jagodziński przełożył dla nas eseje i dramaty Václava Havla, *Cud*, *Batalion czołgów* i *Przypadki inżyniera ludzkich dusz* Josefa Škvoreckiego, *Księgę śmiechu* i *zapomnienia* Kundery, *Kim jestem* Hrabala, *Siódmy życiorys* Oty Filipa, *Zaginionego* i *Mieszkanie dla cudzoziemca*

Egona Hostovskiego, eseje Jiříego Menzla, reportaże z Ukrainy Tomáša Forró i kilkadziesiąt innych książek. W dyscyplinie przekładu z czeskiego i słowackiego Andrzej jest mamutem od dawna. Nasz symboliczny „Mamut” tylko przypieczętowuje obiektywny stan rzeczy. Dodam, że w latach 2007–2009 Andrzej Jagodziński był etatowym redaktorem „Literatury na Świecie”. Istnieją pisarze, których dźwięczne imiona i nazwiska wypowiadał w naszej obecności na tyle często i smacznie, że myślimy o nich jak o starych kumplach, nie mając po temu istotniejszych powodów: Jiří Gruša, Jindřich Chalupecký, Jakub Deml, Dušan Mitana czy (nasz fonetyczny faworyt) Dušan Dušek.

Goszcząc redakcyjną czeredę w Bratysławie, przyszły Mamut pełnił funkcję dyrektora tamtejszego Instytutu Polskiego. Bywał też dyrektorem Instytutu Polskiego w Pradze, radcą ambasady, szefem Funduszu Wyszehradzkiego. Mówię tak, jakbym sugerował, że te instytucjonalne związki przydają mu splendoru, tymczasem to Andrzej przydawał splendoru instytucjom, w których pracował. Pokazywał, czym mogą być, gdy na ich czele stoi właściwy człowiek. Powiedzmy to wprost: Jagoda j e s t instytucją. Trwalszą i ważniejszą niż te wymienione.

Zachowałbym się nieobyczajnie, gdybym nie wspomniał, że spotykamy się tutaj dzięki życzliwości Instytutu Książki, naszego wydawcy, sponsora nagród i obecnej fety. Dziękujemy. Dziękując za uwagę Państwu, wznoszę toast za nagrodzonych – i rozpoczynam obiecane zajęcia w podgrupach.

Marcin Szuster